



M.Borawski/Nasz Dziennik

Bilionerzy



Lubię to! 5

Wtorek, 25 września 2012 (06:10)

Trudno w to uwierzyć, ale w jednym elemencie możemy się pochwalić wynikami co najmniej na światowym, a już na pewno europejskim, poziomie. Dług publiczny rośnie nam tak szybko jak w krajach dotkniętych kryzysem - Hiszpanii, Portugalii czy Włoszech, ale przecież podobno jesteśmy zieloną wyspą.

Zadłużenie

Dług publiczny to nic innego jak zobowiązania powzięte przez polityków w naszym imieniu. Jego spłata może trwać w nieskończoność, generując koszty odsetkowe. Kapitału nigdy nie spłacimy, który został pożyczony, ale odsetki od tego kapitału będziemy jako państwo płacić co roku. A koszty tych odsetek rosną wraz z pożyczonymi kwotami. Co gorsza, na dzień dzisiejszy jest prawdopodobnie niewiele osób w kraju posiadających informację o tym, ile wynosi faktyczne zadłużenie kraju, czyli nas, wszystkich podatników. Już od ponad trzech lat administruję internetowym zegarem długu (www.zegardlugu.pl), który powstał rok wcześniej niż ten uruchomiony w Warszawie na rogu Marszałkowskiej przez Fundację Obywatelskiego Rozwoju (związanej z byłym wicepremierem z Unii Wolności Leszkiem Balcerowiczem). Tydzień temu wartość na tym liczniku przekroczyła bilion złotych. Liczba jest przerażająca, ale od razu trzeba zaznaczyć, że obliczona mocno szacunkowo. Prawdę mówiąc, inaczej się nie da, bo dane są skrzętnie poukrywane.

Jednak nawet z tego, co jest porzucane, da się złożyć informację. Ostatnie dane zadłużenia Skarbu Państwa dotyczą 31 marca br., wówczas dług Skarbu Państwa wyniósł ponad 805 mld zł (patrz tabela poniżej). Do tego trzeba doliczyć zadłużenie samorządów (ok. 62 mld złotych). Od tego czasu, według planu wydatków i dochodów, zadłużenie Skarbu Państwa do dnia 31 sierpnia powinno wzrosnąć o blisko 30 mld złotych, a samorządów o niemal 4 mld złotych. Około 1,5 mld zł długu publicznego przypada na Fundusz Ubezpieczeń Społecznych. To wszystko są dane oficjalne i na tym się kończą. Cała reszta jest już niestety dużym szacunkiem. Państwo wymyśliło sobie, że skoro są ustawowe i konstytucyjne ograniczenia (plus nadzór z Brukseli), to wystarczy trochę pomieszać, żeby statystyki się zgadzały i żeby móc realizować swoje obietnice wyborcze na kredyt.

Od 31 marca przyrost długu Skarbu Państwa mógł wynieść nawet 30 mld zł plus ok. 4 mld zł z tytułu zobowiązań samorządów.

Budowa na kredyt

Państwo, chcąc realizować plan tzw. Polski w budowie, zaciągało duże zobowiązania, niekoniecznie wykazując je w statystykach. Najlepszym sposobem było powołanie funduszu, który realizowałby zadania państwa, emitując własne obligacje, które niewzględniane byłyby w przeliczaniu długu publicznego. Takim funduszem był Krajowy Fundusz Drogowy, dla którego obligacje emituje Bank Gospodarstwa Krajowego. Do końca sierpnia możliwe (dane te są skrzętnie ukrywane), że zostały wyemitowane na ok. 40 mld zł (o takich liczbach mówił były minister odpowiedzialny za infrastrukturę w rządzie Prawa i Sprawiedliwości Jerzy Polaczek). Za te pieniądze budowano drogi, ale nie wykazano ich w ogólnym zadłużeniu państwa. Ponadto trzeba

zapłacić niemal 11 mld zł za wystawione już faktury przez wykonawców infrastruktury w Polsce.

Skoro minister finansów dokonuje sztuczek księgowych, to podobnie robią też doły, czyli samorządowcy. Mechanizm działania jest taki sam - powołanie spółek, które realizują zadania miasta czy gminy, ale nieprzekazywanie im dotacji w wysokości potrzebnej do wykonania zadania. Takie spółki działają w oparciu o kredyt, który w przyszłości i tak spłaca samorządy (np. poprzez zwiększenie dotacji), ale liczy się "tu i teraz", jak powiedział swego czasu premier Donald Tusk, oraz fakt zmieszczenia się w ustawowych ramach (dla samorządu dług może wynieść maksymalnie 60 proc. dochodów gminy lub miasta, co dla niektórych miejscowości w Polsce może być niemożliwe do spełnienia). Jak wyliczył Instytut Kościuszki dla miast wojewódzkich w Polsce, gdyby zliczyć zadłużenie spółek komunalnych należących do tych miast, to należałoby zwiększyć oficjalne zadłużenie o ok. 39 procent. W skali całego kraju daje to przerażającą kwotę niemal 25,5 miliarda złotych.

Biorąc przykład z dołu, minister finansów również ma podobne możliwości wobec państwowych spółek, które żyją z dotacji (np. PKP czy LOT), a których nie otrzymują. W perspektywie największych firm, które i tak prędzej czy później zostaną podratowane, może zaoszczędzić (w statystykach) nawet 10 mld złotych.

Topnieje państwowa kasa

Warto też wspomnieć o tym, że polskie państwo ma dużo mniejsze dochody w tym roku, niż planowało. Na koniec sierpnia różnica wynosi blisko 17 mld złotych. Zaoszczędzono na wydatkach, ale tylko 2 mld zł, więc różnica 15 mld zł pewnie wyjdzie na koniec roku, a na dzień dzisiejszy trzeba ją wliczyć w dług (patrz tabela poniżej).

Zatem można założyć, że pod koniec sierpnia dług państwowy, który w przyszłości będą spłacać podatnicy, niezależnie od tego, jak się dzisiaj nazywa i gdzie się ukrywa, może wynosić bilion złotych. Jest to kwota wręcz niewyobrażalna, gdyby liczyć odsetki od tego, to musimy zapłacić, i to bardzo wysokie. Na dzień dzisiejszy to będzie blisko 55 mld zł co roku. Na każdego pracującego Polaka (ok. 16 mln zł) przypada prawie 3,5 tys. złotych. Tyle trzeba zapłacić w podatkach dochodowych, akcyzie, VAT, żeby politycy mogli realizować swoje wizje rozwoju kraju. Jeżeli pani minister sportu i turystyki Joanna Mucha mówi, że na przygotowania Polski do mistrzostw Europy w piłce nożnej Euro 2012 wydaliśmy ok. 100 miliardów złotych (choć większość z inwestycji i tak byłaby realizowana niezależnie od mistrzostw, być może trochę taniej, gdyż nie byłoby takiej presji czasowej), no to wiemy, gdzie podziały się pożyczane pieniądze. W myśl staropolskiego porzekadła: "Zastaw się, a postaw się", pokazaliśmy Europie, jakim to niby nowoczesnym krajem jesteśmy. Dla podchmielonych Irlandczyków prawdopodobnie nie stanowiło żadnej różnicy, gdzie upajali się złocistym napojem i jak tam dotarli, ale 100 mld zł na igrzyska poszło, a długi zostały.

Bolesna powtórka z historii

Premier Tusk podąża, niestety, drogą Edwarda Gierka. Stracił kontakt z rzeczywistością. Uwierzył, że te wszystkie państwowe wydatki przyczynią się do poprawy w przyszłości rozwoju gospodarczego. Ale ten nie powstaje w urzędniczych i ministerialnych gabinetach, tylko w miejscach pracy. Jeżeli ludziom będzie się zabierać coraz więcej owoców ich pracy (poprzez podatki), to ich produktywność nie będzie rosła tak szybko, jakby mogła, ponieważ przedsiębiorcy stracą motywację do zarobku (który im zostanie odebrany). Po Gierku mieliśmy całą masę państwowych molochów i zakładów pracy nieprzystosowanych do realiów konkurencji o klienta. Dla gospodarki i następnych pokoleń to była katastrofa. Trzeba było spłacać długi Gierka i długi firm, które nie potrafiły sobie poradzić na rynku.

Co zostawi po sobie obecny premier poza gigantycznym długiem do spłaty? Stadiony, które świecą pustkami podczas meczów piłkarskich (z wyjątkiem Poznania, gdzie w około połowie się wypełnia), a na Stadionie Narodowym nie chcą w ogóle wpuszczać piłkarzy (mecz o Superpuchar Polski rozegrany został na stadionie Legii Warszawa w obecności zaledwie kilku tysięcy kibiców - jakby to wyglądało na Narodowym mogącym pomieścić dziesięć razy tyle widzów?). Te inwestycje państwowe są całkowicie nietrafione, gdyby nie kredyty, to nie powstałyby. Od nadmiaru pieniędzy na krechę nasi politycy głupieją. Szkoda, że za tę głupotę wszyscy zapłacimy z naszych kieszeni.

Autor jest gospodarczym ekspertem Instytutu Globalizacji, autorem pierwszego zegara długu Polski www.zegardlugu.pl.

Marek Langalis

Aktualizacja 25 września 2012 (06:23)

Nasz Dziennik

